

Najważniejsi są ludzie

„Praca, która nie przynosi satysfakcji – choć czasem taką pracę też trzeba wykonać – jest zbyt ciężka”.

Jacek Kubiak

Jest Pan rodowitym Wildzianinem. Jak wspomina Pan dzieciństwo w tej dzielnicy?

Jacek Kubiak: Dzieciństwo na Wildzie było oczywiście świetne. Lata 60., samochodów prawie nie było. Tylko gdy w czerwcu były Targi Poznańskie, pojawiała się kilka zagranicznych aut gości targowych. Pięknych aut. Myślę, że design samochodów z lat 60. do dziś może robić wrażenie. Cały dzień na podwórku.

Konne wozy codziennie wiozły dobytek straganiarzy na Rynek Wildecki. Wzdłuż Drogi Dębińskiej kursowała latem kolejka (taka sama, a może nawet ta sama, która dziś jeździ na Malcie). Tam gdzie jest teraz park na Łęgach Dębińskich, była po prostu łąka i pasły się owce. To się szybko zmieniało. W połowie lat 70., gdy szedłem do „Piątki”, był już park, owce i kolejka były tylko wspomnieniem.

V LO to przypadek, czy zaplanowana droga?

Rodzice mnie namówili ze względów praktycznych - bliskość. A także dlatego,



**Jacek Kubiak –
absolwent V LO
w Poznaniu
oraz polonistyki na UAM,
dziennikarz,
dokumentalista,
opozycjonista w PRL,
laureat Nagrody
Honorowej Prezesa IPN
„Świadek Historii”**

że w „Piątce” był poszerzony program nauki języka niemieckiego. To mi się dosyć podobało. Okazało się, że to był ważny wybór, który jakoś wpłynął na moje dalsze życie.

Jak wspomina Pan czasy licealne?

Mieszane uczucia. Szkoła była wówczas poddana dość ścisłej kontroli politycznej. Dla władz PRL-u był to ważny odcinek „frontu ideologicznego”, czyli po prostu indoktrynowania młodzieży. Ale problem dla Partii był taki, że niewielu nauczycieli chciało w tej sprawie z władzą szczerze współpracować.

W każdym razie wtedy

trudno było jednak po prostu lubić swoją szkołę. Moja córka Teresa też trafiła do „Piątki” i nie bez pewnej zazdrości widziałem, że ona swoją szkołę potrafiła lubić.

Z perspektywy lat, uważa Pan, że „Piątka” to był dobry wybór?

W szkole – tak jak zawsze i wszędzie – najważniejsi są ludzie. W „Piątce” trafiłem na wybitną polonistkę, panią profesor Halinę Matuszewską, która prowadziła nas przez całe cztery lata. Była wyjątkowa. Po prostu bardzo mądra. I w zakresie wiedzy polonistycznej, i zwyczajnie mądra

życiowo. Przyglądała nam się uważnie, traktowała nas bardzo indywidualnie. Dość ciężko mieli wprawdzie u niej ci, w których nie potrafiła się dopatrzyć jakiejś dobrej woli czy podejrzewała po prostu tzw. olewanie. Ale wysiłek premiowała. Ja się specjalnie do nauki nie garnałem. Interesowały mnie najróżniejsze rzeczy, ale poza szkołą. W drugiej klasie dopiero pani profesor Matuszewska bardzo ostrożnie, bez ostentacji i wielkich słów zaczęła mi dawać bodźce. Zareagowałem pozytywnie, zacząłem się uczyć jej przedmiotu. Dzięki temu na Radzie Pedagogicznej pod koniec drugiej klasy mogła mnie wybronić przed repetą z fizyki. Studiowałem potem polonistykę i germanistykę. Jedno i drugie zawdzięczam „Piątce”.

Młodzież często nie wie, co chciałaby robić po zakończeniu nauki. Pan wiedział?

Pod koniec szkoły już wiedziałem, że chcę studiować polonistykę i potem pracować na uniwersytecie. I tak się stało. W każdym razie na pewno wiedziałem, co mnie interesuje i że muszę w tej wybranej dziedzinie wiedzieć i potrafić znacznie więcej, niż oczekiwaby szkoła, nawet według wyśrubowanych szkolnych kryteriów.

W czasie studiów zaangażowany był Pan w działalność opozycyjną. Jak to się stało, że trafił Pan do „Solidarności”?

Znowu ludzie. Ludzie i książki. Przypadkiem spotkałem ludzi, którzy mieli kontakt z opozycją i to od nich dostałem pierwszą „bibułę”. Ktoś inny miał krewnych za granicą i dostawał paryską „Kulturę” oraz wydawany w Szwecji „Aneks”, świetne emigracyjne czasopisma. No i impuls moralny. W 1976 r. robotnicy zbuntowali się przeciwko podwyżkom cen, władza wysłała na nich milicję, nastąpiły

masowe aresztowania, robotnicy byli bici i wsadzani do więzienia. Gdy się ma lat 18 czy 20 i jest się w miarę normalnym, nie sposób odnieść się do czegoś takiego obojętnie, dlatego wykorzystałem te przypadkowe kontakty, o jakich wspominałem przed chwilą, by włączyć się w działalność Komitetu Obrony Robotników (na skromną dostępną mi wówczas miarę). Solidarność w roku 1980 to była już tylko konsekwencja tych wcześniejszych wyborów.

Czy miało to wpływ na Pana dalszą karierę?

Solidarność była jedną z największych rewolucji społecznych XX wieku w Europie. Bycie choćby najdrobniejszą częścią tego ruchu wpływa na całe życie.

Był pan korespondentem wiedeńskiego tygodnika „Profil” w Polsce. Jak wyglądała taka praca?

To było o tyle ciekawe, że pracowałem jako korespondent, gdy w Polsce naprawdę dużo ważnych rzeczy się działo. To były lata 1988-1992. Prowadziłem wywiady, jeździłem do Sejmu, zbierałem informacje, pisałem teksty. Jako korespondent zachodniej gazety miałem łatwy wstęp wszędzie. Pamiętam, że gdy chciałem wywiad z premierem Mazowieckim, to premier zaprosił mnie do pociągu, żebym towarzyszył mu w drodze z Poznania do Warszawy. Tak było – premier państwa polskiego nie jechał przez kraj w kolumnie rządowych samochodów, tylko wsiadał do zwykłego pociągu. Ale generalnie taki zawód mało rozwija. Tyle, że musiałem pisać po niemiecku. Redakcja w Wiedniu oczywiście szlifowała tekst, poprawiała redakcyjnie i językowo, ale miałem ten przymus pisania w obcym języku. To jest pozytywne.

Jak to się stało, że został Pan dziennikarzem? Od zawsze było to Pana celem? A może to czysty przypadek?

Dziennikarstwo zacząłem uprawiać w latach 80. w pismach ukazujących się poza cenzurą. To wydawało mi się wtedy bardzo ważne, publikować to, co się myśli. I chyba było w jakiś sposób ważne. To były tylko wprawki, ale czegoś się nauczyłem. Ułatwiło mi to potem i pracę w tygodniku „Profil” i w telewizji.

W latach 1990/1991 był Pan dyrektorem TVP w Poznaniu. Co mógłby powiedzieć Pan osobom zainteresowanym pracą w telewizji?

Że dzisiejsza telewizja jest dość kiepska. Myślę także, niestety, o telewizji publicznej. Winę za to ponoszą w głównej mierze politycy. Polscy politycy w ogóle nie rozumieją, po co jest taki wynalazek, jak telewizja publiczna i jak powinna ona działać. To się odnosi do wszystkich formacji politycznych. Telewizję traktują jako polityczny łup (gdy są do obsadzenia stanowiska w zarządzie czy dyrekcjach anten). Może to ma związek z tym, że większość polityków nie zna dużych europejskich krajów albo nie jest ciekawa, jak one naprawdę funkcjonują. Oczywiście ludzie telewizji też mają swoją część odpowiedzialności za ten stan rzeczy, ale gros odpowiedzialności ciąży na politykach, którzy od 20 lat nie potrafią, nie chcą przeprowadzić ustawy, która zapewniłaby funkcjonowanie mediów publicznych. W każdym razie nie zachęcałbym do wiązania swoich ambicji z telewizją, dzisiaj kompletnie stabloidyzowaną, powierzchowną. Choć oczywiście obraz nie jest wcale jednoznaczny. W telewizji wciąż są bardzo wartościowi twórcy i dziennikarze,

a niektóre sukcesy telewizji publicznej (np. TVP Historia) budzą respekt.

W swoich filmach dokumentalnych porusza Pan często problematykę historii Wielkopolski oraz stosunków polsko-niemieckich w czasie II wojny światowej. Skąd zainteresowanie taką tematyką?

II wojna jest tłem mojego dzieciństwa. Wszystkie imieniny u ciotek upływały pod znakiem wspomnień wojennych. Na początku lat 60. w centrum miasta były jeszcze ślady wojennych ruin. Gdy byłem starszy, chciałem jakoś zrozumieć, jak coś takiego było możliwe. Co musi się stać, żeby w cywilizowanym świecie, który wydawać się może uporządkowany i przewidywalny, dochodzi do masowych zbrodni. Czy to się może powtórzyć? Czy coś możemy zrobić, żeby temu zapobiec? Wielkopolska z kolei to korzenie. Cała moja rodzina pochodzi z Wielkopolski. Gdy byłem młody, zajmowanie się tematyką regionalną uważałem za nudziarstwo, a określenie „regionalista” budziło we mnie skojarzenia z zajęciem intelektualnie jałowym, w każdym razie mało porywającym. Z czasem człowiek dopiero zaczyna doceniać znaczenie tego, skąd pochodzi, jakie wynikają z tego korzyści i ograniczenia. Zaczynamy z czasem godzić się z tym, że jesteśmy bardzo ściśle zdeterminowani miejscem urodzenia, rodziną, okolicą, przyjaciółmi.

Skąd czerpie pan wiedzę potrzebną do realizacji filmów?

Nie ma sensu, żebym tu przeprowadzał jakieś warsztatowe wywody na temat pracy dziennikarza, researchu etc. Powiem inaczej, to się samo zbiera i samo robi, o ile potrafimy spełnić kilka warunków.

Musimy mieć wewnętrzne przekonanie o ważności naszego tematu. Pierwsza faza pracy to upewnianie się właśnie, czy mamy naprawdę ważny temat. Najlepiej, gdy jeszcze w dodatku jest to temat, o którym wiemy (czy co do którego mamy przeczucie), że nikt inny poza nami nie będzie tego tematu we właściwy sposób potrafił podjąć. Temat i/lub jego ujęcie musi być w każdym calu „moje”. Nie warto robić rzeczy, które może zrobić ktoś inny. To właściwie wszystko. Bo jak temat jest „mój”, to przecież wykorzystam każdą chwilę, żeby go wzbogacić, przemyśleć, doczytać, „wygooglować” coś nowego. I – bardzo ważne – opowiadać wszystkim, przyjacielom, rodzinie, przypadkowo spotkanym, dawno ni widzianym kolegom. Mnóstwo bardzo ważnych impulsów zebrałem podczas takich rozmów.

Czy praca przynosi Panu satysfakcję?

Praca, która nie przynosi satysfakcji – choć czasem taką pracę też trzeba wykonać – jest zbyt ciężka. Czasem muszę (to plaga powszechna w dzisiejszych czasach) pisać wnioski o granty lub sprawozdania z ich wykonania. Wtedy staram się szukać satysfakcji w tym, że taki dokument wygląda schludnie, jest starannie zredagowany, przejrzysty etc.

Czy planuje pan następne przedsięwzięcie? Jeśli tak, to jakie?

Chciałbym zrobić film o Baruchu Bergmanie, to jeden z ostatnich żyjących. Chciałbym też napisać książkę o nazistowskich wysiedleniach z ziem polskich wcielonych do III Rzeszy. Przed niewieloma tygodniami – wraz z kilkusobowym zespołem i rozstrzygającą w tym przypadku pomocą wydawnictwa Posenia – wydałem album fotograficzny o tych deportacjach. Ale chciałbym mieć

książkę tylko „swoją” na ten temat. Pracuję nad nim od kilku lat. Wreszcie chciałbym też mieć w dorobku książkę o interesujących mnie wątkach historii literatury polskiej w dziewiętnastym wieku. Choć od dawna nie pracuję na uniwersytecie, wciąż hobbistycznie zajmuję się historią literatury.

Rozmawiała: Weronika Wiśniewska